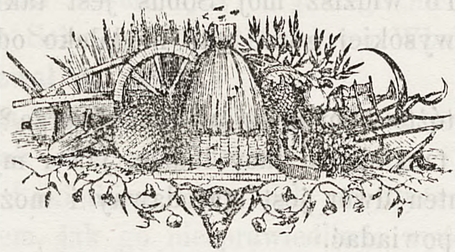
Tom VIII. Nr. 15.

21. Maja. 1863.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Zamek w Ojcowie.

We wsi Krajowcach stoi już od lat 8 domostwo, jakby tam siedział jaki sołtys bogaty, a to nie chałupa sołtysa, jeno szkoła, gdzie pod jednym dachem uczą się dzieci i razem siedzi tam pan nauczyciel. Rozumni to i dobrzy ludzie w tej wsi, bo z każdej chałupy suną ci tam dzieci przed południem do szkoły jakby w niedzielę do kościoła, a to maleństwo uczesane, umyte, w bucikach i czapeczkach rozmaitych aż miło popatrzyć na to. Otóż raz przyszła tam do tej szkoły sama pani z synkiem swoim małym Bolciem, a ten Bolcio dawał szkolarzom to obrazki, to xiążeczki, to medaliki z Najświętszą Panną — i dostał się jednemu obrazek z napisem: Zamek w Ojcowie. Podziękował za ten obrazek ładny chłopczyk samej pani, a zwał się Sobuś Trznadel i zaczął mu się przypatrywać na wszystkie strony, i czytał sobie dorazu wszystkie napisy na obrazku, kiwał głową, boć nie mógł zgadnąć czy to kościół jaki, czy dwór jaki, czy jaka kaplica — więc wyszedł na środek szkoły, pocałował samą panię w rękę i tak się odezwał do niej:

— Proszę pani dziedziczki opowiedzieć mi, co to stoi wymalowane na tym obrazku, i co to za dziwny napis na nim?

— *Pani:* To widzisz mój Sobuś jest taki murowany i wielki dwór na wysokiej górze i to niedaleko od naszego Krakowa.

Sobuś: A któżto tam siedzi w tym dworze?

Pani: Dziś tam siedzą tacy ludzie, jak i my tu w naszym dworze, jeno tamten dwór jest starodawny i można o nim wielkie ciekawości opowiadać.

Na to krzyknęły wszystkie dzieci w szkole:

— O prosimy też naszej dobrej pani, aby nam też opowiedziała co pięknego o tym dawnym dworze, bo o Krakowie to już wiemy dużo — i zaraz Sobuś wziął stołeczek i postawił pani, aby sobie siadła, a sam stanął sobie blisko, aby mógł wszystko dobrze wysłuchać i wymiarkować sobie i spamiętać.

Otóż dobra dziedziczka tak opowiadała:

— Widzicie kochane dziatki, że tego dworu nie było od początku, jakto polscy królowie siedzieli sobie w Krakowie — tam gdzie teraz stoi ten dwór wysoki na górze, to były jeno wielkie kamienie i lasy, a na dole była wioska, gdzie gazdowali tacy kmiecie jakto są dziś wasi ojcowie — i byli ci kmiecie bardzo pracowici, pobożni, trzeźwi i tak samo nazywali się Polakami, jakto i my zowiemy się tak samo. Otóż w dawnych czasach, bo jużto temu dobrze 500 roczków, był królem polskim niejaki Przemysław; był to mądry i dobry król, bo się ujmował za biedakami Pomorzanami, ale go za to zabili Niemcy i chcieli oni koniecznie zrobić polskim królem jakiego Niemca — i udało im się to, bo został w Krakowie królem niejaki Wacław Czech, co lubił niezmiernie szwargotać po nijakiemu, i nawet zarzucił swój ubiór po ojcach a przebrał się po niemiecku. Ba! alećto była krzywda wielka dla jednego królewica polskiego, co się jemu należał i Kraków i kraj polski, bo się to wtedy tak porobiło, jakby dziś obcy człowiek wlazł na wasz grunt i do waszej chałupy, i zabierał to dla siebie, a sieroty po ojcu powyganiałby na żebraninę.

Otóż widzicie było i wtedy niesprawiedliwie i źle w Krakowie, bo w Krakowie siedział sobie Czech, po kraju polskim

darli lud polski jego urzędniki i wydziwiali sobie, a królewic polski Władysław Łokietek poniewierał się po świecie jak ta sierotka wygnana z domu ojca od jakiego niedobrego opiekuna.

Jak tylko Sobuś posłyszał to słowo Władysław Łokietek, zaraz się odezwał do pani:

— Toć ja znam historyę o tym królu polskim, toć on był maleńki tak jak ja, a może trochę większy, i przezwali go Polacy dla tego Łokietkiem niby mało co dłuższy nad łokieć — o wiem ja wiem, jak go niesprawiedliwie wyścigał z Krakowa jeden wójt, jakošto zwał się on pono Albert po niemiecku, jak tego biednego Łokietka schowali do klasztoru swego zakonnicy, boby go byli zabili Niemcy i Czechy, jak on potem poszedł aż do Ojca świętego na skargę, aby się ujął za nim jako za sierotą, a ojciec też święty napisał za nim i znowu dobry król węgierski dał mu trochę wojska swego, a znowa dopomagali mu polscy chłopi i on też powrócił znowu sobie po takiej biedzie do domu swego i osiadł w Krakowie.

Gdy pani usłyszała jak Sobuś opowiadał, aż się uradowała, pogłaskała Sobusia, dała mu z woreczka kilka krajcarów na papiery i atrament, a potem zapytała dalej:

— Ale nie znasz mój Sobusiu historyi o tym dworze w Ojcowie, a widzisz, że właśnie w tej samej wsi był także ten sam król i tam go poczciwi kmiecie pilnowali i żywili.

Sobuś zadumał się trochę i nic nie powiedział, to też sama pani tak dalej gadała:

— Widzisz Sobusiu, jak ten królewic Łokietek wrócił z pisaniem od samego Ojca świętego, dowiedzieli się o tem Czesi i Niemcy, i chcieli go znowu albo zabić albo złapać, nawet obiecali wielkie sumy dać temu, ktoby go złapał i do Krakowa przystawił. A przecie to był grzech wielki, bo jakże można zabierać sierotom ojcowiznę, albo ich wygubić, wytracić do jednego, a potem sobie zabrać i używać? To też i ten królewic krył się po lasach i górach, i poczciwy lud polski na górach nocował go nieraz i żywił, boć każe Pan Jezus robić: Niechta będzie sierota czy po królu, czy po panie, czy po chłopie, to wszystko jedno, trza ją bronić i ratować, bo to sierota! Ale raz dostał się ten królewic aż pod Kraków i zaszedł sobie do

wsi tam między kamienie i lasy, gdzie to dziś stoi ten dwór, i jak tu na twoim obrazku Sobusiu jest wymalowany! Ale doskwierał mu głód wielki — zrazu to zbierał poziomki i jadł, to zrywał dzikie gruszki i pożywiał się, ale nie jeść długo ani chleba ani gotowanego co, to choroba, a znowu nie być oprawnym długo, to cię robactwo zje i pokaleczy. To też i biedny królewic cierpiał głód i biedował, ale raz tak sobie pomyślał:

— Toć tu jest wieś na dole, tu lud polski i katolicki, toć znają naukę Pana Jezusa, toć przecie przyjmą i poratują sierotę — i poszedł z góry do wsi, a jużto było daleko w nocy.

Przyszedłci pod jedną chałupę i puka, a gospodarz się odzywa:

— Kto tam puka tak w pożną noc?

A królewic mówi:

— Wstańcie! wstańcie człeku boski! otwórzcie drzwi, bo to puka sierota opuszczona i biedna i ścigana od złych ludzi, i podajcie jej wody i chleba i nocleg w domu waszym!

Na te słowa wyrozumiał chłop, że to jakaś dobra dusza potrzebuje przytułku, zerwał się, zlazł z góry, gdzie leżał, i otworzył pomału drzwi i wpuścił do sieni królewica. Ale to była noc ciemna, to też ani chłop nie widział królewica, ani królewic chłopa. Dopiero zaświecił chłop szczypę i zdumiał się i trochę się przestraszył, gdy zamiast odartego dziada lub sierotki jakiej, zobaczył z pańska i po żołniersku trochę ubranego człowieka.

Ale królewic zaraz mu powiada:

— Otóż mój gazduniu, ja jestem syn króla nieboszczyka Kazimierza, a brat rodny zmarłego króla Leszka Czarnego — mam tu pisanie od Ojca świętego do was chłopów, abyście mi pomogli dostać się na ojcowiznę moją. Obiecali wam dać wielkie sumy za to, jeżli mię złapiecie i do Krakowa odstawicie albo żywego albo zabitego — ale ja wiem, że wy katoliki i także jak ja Polacy, to wy mi krzywdy sami nie zrobicie i nie dacie zrobić, boby was pokarał za to Pan Jezus i ta Najświętsza Panna.

Kmieć się zczerwienił i skłoniwszy się mówił:

— Ach! Boże mój święty! czyżbym ja mógł być drugim Judaszem i mego krajana i katolika, ba! naszego królewica wydać Niemcom za pieniądze na zabicie lub zatracenie? toćby mię Pan Jezus zagubił za to i potępił na wieki moją duszę jak zatracił i duszę Judasza — nie bój się panie nasz, siadaj sobie u mnie prostaka, napij się mleka wieczornego od mej krowiny, przekąś i chleba grubego żarnowego, a ja pójdę zwołać moich sąsiadów, abyśmy cię mogli bronić, gdyby broń Boże! miało cię co złego spotkać.

Królewic Łokietek usiadł za stołem, napił się mleka, przekąsił chleba, a chłop poleciał do sąsiadów i przyprowadził ich sześciu naraz. Wtedy znowu odezwał się królewic do chłopów:

— Przyszedłem do was, jako sierota po sprawiedliwość — oddaję się wam, jeżliście dobrzy katolicy i boicie się Boga, to mi pomożecie, a jeżliście źli ludzie, to możecie zrobić ze mną, co wam się podoba.

A chłopi pokiwali głowami i rzekli:

— Ach! Panie! choć cię nie znamy i nie wiemy jeszcze czy jesteś obcy jaki, czy też brat króla nieboszczyka, to nie myśl tak źle o nas — między nami żyj sobie jak u Boga za drzwiami, a jeżli to prawda że jesteś synem królewskim, to ci między nami ani włos z głowy nie spadnie i pierwej nas wszystkich wybiją do jednego, nim ciebie z naszej wsi potrafią zabrać do Krakowa. Abyś był pewny życia to cię zaprowadzimy do jednej skały, tam jest taka izba, damy ci posłanie, nakrycie i pożywienie, i tam sobie będziesz siedział jak ptaszek na wysokim dębie między liściami.

I zapalili ci dobrzy ludzie garść słomy i tak zaprowadzili królewica sierotę do tej kamiennej izby, pożegnali go z Bogiem, a odchodząc mówili:

— No! teraz tu sobie siedź biedna sieroto, Bóg tu popamięta o tobie, a my da Bóg! zaniesiemy cię kiedyś na rękach do Krakowa, i ty będziesz nam królował, o! bo teraz bieda koło nas, jakieś przywłoki drą nas ze skóry i nawet nie dadzą się ostać biednym sierotom na świecie Bożym.

Na to rozpłakał się królewic i pożegnał chłopów, potem ukląkł i modlił się długo, długo w nocy, a gwiazdeczki świe-

ciły na niebie, zdjął z piersi krzyżyk, co mu dał Ojciec święty, pocałował go a potem zmówił: Kto się w opiekę i usnął.

Na to wszystko uważał sobie Sobuś tak, że ani oka z pani nie spuścił, a gdy pani przestała mówić, to Sobuś zaraz zapytał:

— No! i to może ci chłopi zrobili królem w Krakowie tego malutkiego Łokietka, ale jakoś mi się to nie zdaje.

A pani mu odpowiedziała:

— Oj tak! tak! mój Sobusiu — Pan Jezus dopomógł ukrzywdzonej sierocie, co się poniewierała po cudzych progach jakie z 10 lat i zeszła tyle świata nadarmo — a chłopi od Krakowa zaprowadzili jakby czerniawa jaka, tego biedaka do Krakowa i zrobili go swoim polskim królem, a to się stało roku 1306 i wielkato pamiątka od tych chłopów na cały świat, i dziś gadają o tych dobrych ludziach i będą gadać do końca świata, ale też i Pan Jezus zapłacił im w niebie za tę sierotę.

A dzieci się potem zapytały:

— A cóż się stało z tym obcym królem, pono Wacławem, co to chciał jak Herod zabić Łokietka?

A pani im powiedziała:

— Oj moje dzieci! kto zamyśla kogo zabijać, to tego zabija sam Pan Jezus, a kto krzywdzi sierotki i chce ich wygubić, to idzie marnie z tego świata i zagubia duszę na wieki — tak też stało się i z tym Wacławem, bo choć to król i taki bogacz, to jeno 5 lat pozwolił mu Bóg dokazywać w Krakowie, a jego dziecko znowu tak się rozłajdaczyło i rozpiło, że to Bóg zabrał nagle z tego świata i po tych Wacławach nie zostało ani śladu.

A Sobuś znowu rozgadał się tak:

— O! ten Łokietek był dobrym królem, on poodbierał swoje polskie kraje, Ojciec święty koronował go na króla w Krakowie, a miałci on tak lubić chłopów i tak przepadał za nimi, że porobił chłopów panami i...

A pani poderwała go i mówiła:

— A tym chłopom co go ratowali, podawał sołtystwa, kumował im, sprawiał wesela, dawał wiano ich dzieciom, posyłał do szkoły i pamiętał im to do śmierci. A syn jego, ten Kazimierz Wielki, co to się zwał królem Chłopów, pamiętał to chłopom, co to oni zrobili dla jego ojca, a na tem miejscu gdzie

jego ojca schowali chłopi tam w tej kamiennej izbie, to postawił dwór murowany, ten sam co jeszcze do dziś stoi i ty Sobusiu masz go na obrazku.

A Sobuś zaraz z radości zawołał:

— Aha! toto ten dwór taki, toto taki zamek, i toto wymurował król Kazimierz na pamiątkę że tam między lasami i kamieniami przesiadywał biedny jego ojciec, a potem był królem tak dobrym i sprawiedliwym, aha!

A pani zapytała Sobusia:

— A wiesz moje dziecko, dla czegoto nazywa się ten zamek: Zamek w Ojcowie?

A Sobuś zadumał się na to. To też pani mówiła:

— To widzisz dla tego nazywa się tak pięknie ta wieś i ten zamek, że król Kazimierz kazał tak nazywać na pamiątkę wieczną, bo chłopi ci dobrzy byli jakby ojcami dla sieroty biednej, a znowu i dla tego zamek zwie się tak, bo tu na tem miejscu uchował Bóg ojca jego od zaguby. Otóż weź sobie ten obrazek do domu, a historyę o tym zamku opowiadaj wszystkim, aby wiedzieli ludzie, co to dobrego i pobożnego było dawnej w polskim kraju.

Xiądz Wojciech z Medyki.

Królowa Wanda.

W błogosławionej polskiej krainie
Wanda zasiadła na Lachów tronie,
Anioł dziewica z wdzięków swych słynie,
I jakby gwiazdka na niebie płonie.

Wieczne panieństwo Bogu ślubiła,
I wierna swojej przysiędze była,
A Bóg policzył ten kwiat na ziemi
W niebie pomiędzy anioły swemi.

Jak wonne kwiecie wabi motyle,
Tak Wanda nęci roje rycerzy —
Jak ziarnek w maku przyszło ich tyle,
Lecz Wanda gardzi kwiatem młodzieży.

Był xiążę sławny pomiędzy niemi,
Zwał się Rytygier z niemieckiej ziemi,
I ten najbardziej ważył się na to,
Żeby królową pojął bogatą.

Wanda się Niemcem wielce brzydziła,
I z wzgardą ręki swej odmówiła –
A xiążę wobec zamkowych gości
Aże się pienił od wielkiej złości.

I prędzej ruszył do swego kraju,
Ażeby zemstę nieść polskiej ziemi,
I po dawnemu Niemców zwyczaju
Chytrze wszedł w zmowę także z obcemi.

I tyle przywiódł z sobą żołnierzy
Iż niezliczona tłuszcza ich była;
Wanda zwalczyła nędznych szermierzy
I za granicę precz wyrzuciła.

A kiedy wrócił xiążę do domu
To aż się wściekał, pienił ze sromu,
I zebrał znowu pachołków chmury
I szedł brać szturmem krakowskie mury.

Jako szarańcza słoneczko Boże
Chmurą zakryje przed ludzkiem okiem,
I gdy upadnie na pola zmrokiem,
To wszystką trawę zeżre i zboże;

Taka też z xięciem tłuszcza żołnierza
Przez lasy, góry do Polski zmierza,
A xiążę w drodze zachodzi w głowę,
Jakby najlepiej porwać królowę.

A gdy już było głośno w Krakowie,
Że taka zgraja do Polski dąży,
I że ją wiedzie niemiecki xiążę —
Wanda te słowa do ludu powie:

„O mnie to idzie narodzie drogi —
Na mnie się sierdzą, wściekają wrogi —
I całej wojny we mnie jest zaród,
Więc wolę zginąć ja, niż mój naród!“

I z płaczem Wandę błagał lud cały,
Lecz płacze, prośby nie pomagały,

Bo w swym zamiarze królowa stała
Jako najtwardsza na ziemi skała.

Bogu w ofierze siebie oddaje —
Nad brzegiem Wisły dziewica staje
I w nurtach tonie — a Bogu miłą
Królowę naród uczcił mogiłą.

Gdy wieść ta doszła do Rytygiera,
Z drogi do domu wojska zabiera.
Oj dobrze nasza Wanda zrobiła,
Że się przed Niemcem w nurt Wisły skryła.

Grzela z Waszkowiec.

Jak Michał Kopystko wyszedł na handlowaniu końmi?

— A gdzieto Bóg znowu prowadzi Michale? — pytał sąsiad Walek Dzieża, widząc iż Kopystko zaprzęga dwie liche szkapy do woza i ładuje się w podróż.

— A do Krzeszowic — powiada Michał — bo dziś dzień jarmarczny, więc dla mnie huk interesów.

Walek Dzieża, co to był gospodarz dobry i pracowity, oparł się o płot, i zapyta znowu Michała:

— Mój Michale a dyć trawa doszła już, a na waszej łączce koło dębowego jaru i wedle czerwonego krzyża aż się prosi, aby ją kosić. Dzień ładny, to szkoda go.

— Owa! — huknie Michał — co mi tam trawsko nędzne, to ja dla niego nie mogę opuszczać jarmarku. Wy to ani rusz nie rozumicie Walku co to handel. Toć ja za jeden dzień mogę na nim więcej zarobić jak przez dwa miesiące koszeniem. Ot patrzcie ten łysy konik to skarb, wiem z pewnością że się na jarmarku będą kupcy o niego dobijali, i zapłacą co jeno zechcę. Albo bułanka co? hę?

— Daj Boże! — powie Walek — ale bo po prawdzie oba te koniki nie wiele warte. Łysy ledwie łazi, toć patrzcie jak stoi przedniemi nogami niby na śpilkach; a bułanka dychawiczna. Nie zda mi się, abyście na nich zarobili.

— O to mi znawca — krzyknie Michał w złości i weźmie się po pod boki — o widzicie go, on się będzie zdziwiał nad moimi końmi! Już ja widzę Walku że ty będziesz całe życie chodzić za wołami. Ale wara tobie od moich koni, abyś mi jeszcze kupców nie poodstraszał.

Wykrzyczawszy się siadł Michał na wóz, zaciął konie i powoli powlókł się do miasteczka. Walek nic już nie gadał, jeno smutnie jakoś popatrzał za Michałem i rzekł do siebie.

— Szkoda człeka i gospodarki, bo już ja widzę że to wszystko marnie pójdzie.

I mówił Walek prawdę. Zagroda Michała, chociaż jedna z największych w całej wsi, wyglądała teraz strasznie nędznie i opuszczona. Widać że gospodarz mało w domu siadywał i mało się o nią troszczył. Chałupisko wielkie, poodzierane z wierzchu, z przegniłą strzechą, podpierali z jednej strony drągami jakby się już walić miało; po stodole i chlewach okrótne pustki a nieporządek, wszystko otwarte na ścież, wszystko odrapane i walące się. O podwórku niema już co mówić. Niechlujstwa tam było więcej niż u arendarza w karczmie, a komu wypadło przechodzić przez nie, to i nogi mógł połamać, i kark skręcić, i unurzać się w błocie jak nieboskie stworzenie. Ot tak jednem słowem byłato okrótna rudera aż patrzeć niemiło.

Zaś całkiem inaczej wyglądała ona za dawniejszych czasów. Ojciec Michała był zamożny i pracowity gospodarz, miał kilkanaście morgów pięknego pola, chodził pilnie koło gospodarki i miał wszystko w największym porządku. Za jego życia bywała zawsze chałupa bieluśka i czysta aż miło, podwórko w porządku jak we dworze, stajnie porządne a w nich woły, krówki i owce jak nalane takie piękne i tłuste, zaś gumno jego i stodoła sławne były na całą wieś, tak tam bywało zboża pełniutko, że czasem sześć i siedem brogów stawiali koło stodoły. No i patrzcież na co to wszystko zeszło teraz.

Za młodu był Michał także pracowity i dzielny parobczak, bo jużby ojciec stary inszego syna nie ścierpiał. Aż tu razu jednego przyszła branka, i wzięli Michała w rekruty. Poszedłci chłopczysko w świat daleki, i osiem lat ani słychać o nim nie było we wsi. Stary ojciec pracował tymczasem ciągle, aby dla jedy-

naka zachować piękne gospodarstwo, kiedy wróci z wojska do domu. No i wrócił on nakoniec, a ojczysko jakby tego jeno czekał, oddał mu gospodarstwo, i coś już na drugą niedzielę zmarł biedaczyna.

Zaś Michał wrócił całkiem inny niż poszedł. Do wojska poszedł chłopak dobry i pracowity, a wrócił leń i pijaczyna, który się żadnej roboty imać nie chciał. Łaził jeno po karczmach, upijał się i próżnował aż żal brało patrzyć. Gospodarstwo zaczęło upadać, wszystko się rujnowało. Gospodarze sąsiedni gadali mu na rozum, xiądz proboszcz i pan dziedzic upominali, ale to wszystko było na darmo. Niebawem przehulał cały dobytek, a jak zobaczył iż niebawem przyjdzie i grunt sprzedać, więc zaczął niby przemyśliwać o pracy i poprawie.

Ale próżniakowi i pijakowi nie łatwo o poprawę. I Michał także nie pomyślał o tem, iżby wziąć się na dobre do pracy, jeno szukał sposobu łatwego na zarobek. Włócząc się po jarmarkach widział jak koniarze na handlu zarabiają, i choć nic a nic nie rozumiał się na koniach, postanowił sobie zostać koniarzem. Nie słuchał więc dobrej rady drugich gospodarzów, ale na pierwszym jarmarku kupił jakieś hetki na borg, i upiwszy się okrótnie, wrócił po nocy do domu. Od tego czasu włóczył się po wszystkich jarmarkach jak najęty, i coraz gorsze handle robił.

Starsi koniarze, okpiświaty i wydrwigrosze, zawsze mu wściubili jaką habetę o trzech nogach i jednem oku albo też i całkiem ślepą, nieraz i z odpadłym ogonem, a Michałowi zdawało się, że już wielki kupiec, kiedy przywlókł się w nocy do domu na trzech albo czterech zdechlakach. Włócząc się tak po jarmarkach, poduczył się już Michał nieco handlu, a poprawdzie powiedziawszy cygaństwa i szachrajstwa, ale go zawsze starsi koniarze oszukiwali dosyć, i Michalisko rujnował się już do ostatka.

Tak było aż do onego dnia, kiedyto rano rozmawiał Michał z Walkiem Dzieżą. Ofuknąwszy poczciwego Walka za dobrą radę, zaciął dwie nędzne szkapy i ruszył do Krzeszowic na jarmarek. Dowlókł się dość na czas, bo mu było niedaleko, i wnet go tam przydybał sławny koniarz a jeszcze sławniejszy

cygan i hultaj Mortko Rudy, z którym Michał ciągłe miał handle. Krzyknie on wnet do Michała:

— Hej Michale, a masz ty pieniądzów moich, bo ja już nie będę ani na chwilę dłużej czekał.

— No, no Mortku — powie Michał — będą pieniądze, nie bój się, albo ty nie znasz moją poczciwość.

— Idź ty sobie do licha z twoją poczciwością — powie mu Mortko — mnie potrzeba pienędzy. Albo to ja już mało czekam? Albo ty mało już odemnie nabrał koni na borg, albo ty nie wziął srokatego i parę gniadych, i tego fajne ogierka, co jeno na jedno oko był ślepy i troszkę na jedną nogę pokuliwał, albo ty nie wziął odemnie i tę bułankę, hę? A gdzie moje pieniądze, hę? A to ja zaraz idę do sądu, i twój grunt sprzedam i te oba konie zabiorę.

— Ej Mortku — woła Michał — a co tobie? Toć ja wiem dobrze com wziął od ciebie, i wiem także że to poprawdzie same straszne gałgaństwo ty mnie dawałeś, no ale już ja zapłacę tylko czekaj, bo i mnie zgubisz i swego nie odbierzesz.

— Jak zapłacisz? co zapłacisz? zkąd zapłacisz? — wołał Mortko.

Wtedy Michał zaczął się Mortkowi okrótnie przeklinać i przysięgać po kupiecku, że mu wnet z pewnością odda pieniądze, i jął mu coś po cichu rozpowiadać a rozpowiadać tak, że na końcu Mortko pofolgował, i zawoławszy jeszcze dwoch handlarzy szachrajów, którym Michał także był winien za konie, coś się długo naradzali. Nareszcie zgodzili się tak, że zaczekają jeszcze Michałowi i dadzą mu nawet trzeciego konia. Dali mu też jakieś okrótnie mizerne szkapsko, co ledwo nogi włóczyło za sobą, i podpiwszy sobie dobrze na traktamencie Michała, puścili go w drogę.

Powrócił Michał w nocy do domu, a na drugi dzień rano jął ładzić wóz. Że to zaś był grat stary i do niczego, więc zaczął po gospodarzach pożyczać to koła, to wasążka, to lusznice, to chomątek, i jakoś to pozbierał łataninę i wyrychtował. Potem zaprzągł swoje chabety i ruszył aż do Krakowa. W Krakowie ugodził się z gospodarzem, co to most budował pod drogę

żelazną, o dowóz kamieni, i wziąwszy zadatku 50 reńskich nowych, wrócił do domu.

No i cóż myślicie, że mu poszedł interes dobrze?

Gdzie tam, jak mu mogło pójść dobrze, kiej się wziął nie do swego rzemiosła, bo z maleńkości aż do tego czasu nie umiał i nie nauczył się chodzić dobrze koło koni, nie znał całkiem co to furmanka, bo to już całkiem nie jego rzeczą było. Michałowi zachciało się lekkim sposobem przyjść do pieniędzy, więc wziął się do handlowania końmi, a kiedy się to nie udało, jął się furmanki. Myślał on sobie, że jak pójdzie spacerem przy furze z kamieniami, to już cała rzecz, i wszystko się uda doskonale a zarobek będzie dobry.

Otóż kiedy wziął pieniądze, zamiast wozić kamienie, zaczął chodzić po wszystkich jarmarkach, częstując znajomych i nieznajomych wódką i piwem, zjadając przekupkom różne specyały, gdzie mu najlepiej smakowały ucha świńskie. Kiedy już przehulał pieniądze, wybrał się nareszcie z kamieniami do Krakowa. Zaś do pomocy najął sobie parobka jednego Jakóba, który był taki leń jak on sam, i tak samo nic nie umiał jak Michał.

Otóż póki jechali gościńcem, to szkapska jeszcze jako tako ciągły, tembardziej że co karczma odpoczywali i pili; ale skoro zjechali na drogę poboczną, i przyszło pod górę, szkapska ani ruszyć nie mogły. Michał bije, tłucze, klnie co niemiara, ale szkapy nawet wozu z ciężarem utrzymać nie mogły, a cóż dopiero z miejsca ruszyć. W końcu nie było inszej rady, jak pozrzucać kamienie do przekopy i nawrócić do domu. Tak też zrobił Michał, i razem z Jakóbem przyjechali nazad do chałupy.

Aliści wnet go nowa bieda spotkała. Skoro bowiem przywlekli się przed chałupę, aż tu obie szkapy dyszlowe padły, a lejcowy dostał myszy. Z nieżywemi trudno poradzić, ale chorego konia trza ratować — pomyślał sobie Michał, i wziął się do kuracyi.

Otóż przypomniał on sobie, iż jakiś koniarz cyganisko nauczył go sposobu na myszy u konia, a ten był taki, aby choremu koniowi dać ogon z tchórza drobno pokrajany z maślanką. Na przypadek miał już kawałek takiego ogona w schowaniu, więc posłał zaraz Jakóba po maślankę do żyda arendarza, z któ-

rym bardzo się był poprzyjaźnił. Przyrządziwszy lekarstwo zadał je koniowi, a potem mówi do Jakóba:

— Weź konia za uzdę i oprowadzaj do siódmego razu koło chałupy.

— A to na co? — pyta Jakób nie tyle z ciekawości jak z lenistwa, bo mu się nawet konia oprowadzać nie chciało, jeno myślał aby przewrócić się do góry brzuchem taj spać.

— Zobaczysz zaraz, to jeszcze jedno lekarstwo i najlepsze.

Pocznie Jakób oprowadzać konia, a Michał tymczasem stanie z workiem przy węgle domu. Ile razy przywlokło parobczysko konia pod ten węgieł, tyle razy palnął Michał konia workiem po krzyżach, myśląc sobie, że takiem czarowaniem z pewnością go uratuje.

Nie prawdaż moi mili że to rzecz śmieszna! Każdy człek rozsądny, kiedy mu koń albo inne bydle zachoruje, idzie po radę do takiego, co się na tem dobrze zna; na myszy u konia łatwy sposób, bo jeno upuścić mu trzeba nieco krwi z pod obu uszów i będzie zdrów. Żeby Michał miał więcej rozumu, pewnieby nie czarował konia workiem i ogonem tchórza, boć to każdy pozna, że takie głupstwa uleczyć nie mogą. Jakoż do rana nawet nie doczekał konisko i zdechł jak oba drugie.

Michał zgryzł się okrótnie, boć to i konie nie były popłacone, i z dawna winien był handlarzom, a znowu zadatek od koniarza także nie odrobiony, zaś gospodarstwo okrótnie zapuszczone i do niczego. Jak to sobie wszystko pomiarkował, więc z wielkiego zmartwienia rozniemógł się bardzo, i leżał w takiej nędzy w chałupie bez żadnej pomocy, bo urwis Jakób poszedł światami, skoro zobaczył że tu niema już co robić.

Byłby tak Michał pewnikiem zmarł bez pomocy, bo we wsi nie lubili go i w końcu nie wszyscy nawet wiedzieli co się z nim dzieje, bo wszyscy po całych dniach pracowali w polu. Na jego szczęście poczciwy Walek Dzieża doniósł o wszystkiem do dworu, a państwo dziedzice zaczęli się opiekować Michałem, choć na to nie zasłużył, bo dobrej rady pańskiej nigdy nie słuchał. Otóż sprowadzili doktora, kupili lekarstwa, przysyłali ze swego stołu jedzenie i bieliznę, i tak iż przy tej opiece wyzdrowiał niebawem Michał zupełnie.

Ale ta choroba i nieszczęście posłużyły mu na dobre. Przekonał się że jest leń i próżniaczysko, że tym sposobem tylko na ostatnią nędzę przyjść może. Przekonał on się że dobrze mówili pan dziedzic, xiądz proboszcz i starsi gospodarze, kiedy mu odradzali handel i napominali aby się wziął do pracy uczciwej. Otóż skoro wyzdrowiał, poszedł najpierw do kościoła, wyspowiadał się i podziękował Panu Bogu za miłosierdzie, potem szedł do dworu, i dziękował państwu za opiekę. Spyta go pan dziedzic:

— No i cóż myślisz robić Michale, czy jeszcze ci pachnie handel?

— Gdzie zaś — mówił Michał — już mi wstyd za to wszystko, że na ludzi patrzeć nie mogę.

— Więc staraj się naprawić dawne błędy pracą i uczciwością — mówił pan — a zobaczysz że ci to na dobre wyjdzie, bo pamiętaj sobie że tylko praca ludzi zbogaca.

Usłuchał Michał, jął się szczerze do pracy, ożenił się niebawem z poczciwą i pracowitą dziewczyną, i wyszedł na całkiem porządnego gospodarza. Do dziś dnia popłacili już długi wszystkie, poprawili gospodarstwo, a niebawem będzie Michał tak samo zamożnym gospodarzem jak był jego ojciec. Pan Bóg dał mu dzieci, które on dobrze wychowuje, i zawsze im przypomina, że tylko praca ludzi zbogaca.

RÓŻNOŚCI.

Wiejska lekarka. Dziwna to rzecz a przecież tak bywa między ludźmi wiejskimi, iż w chorobie nie słuchają mądrych doktorów ale głupie baby, które się udają za lekarki, tumanią ludzi i najczęściej swojemi lekami zabijają. Takito nierozum bywa między ludźmi, i trudno ich przywieść do dobrego. Na naukę i przykład opowiem wam jedno zdarzenie, które się stało w Królestwie Polskiem niedaleko Lublina.

Otóż w jednej wsi zachorowała pewnego razu kobieta, matka pięciorga dzieci. Ani ona ani mąż nie dali znać do dworu, jeno radzili się znachorki wiejskiej. Dopiero kiedy już bardzo źle było z kobietą, poszedł mąż do dworu i opowiedział pani dziedziczce o chorobie swojej

żony. Dobra pani posłała zaraz po doktora, i przyszła z nim razem do chałupy Marcinów. Patrzy pan doktor, aż tu biedna Marcinowa okrótnie chora, i już bliska śmierci. Dziatki płaczą koło łóżka, a Marcin z wielkiej żałości jakby skamieniał przy kominie. Koło chorej uwija się jakaś baba, znachorka.

Pan doktór przystąpił do chorej, oglądnął ją, pokiwał głową i pyta:

— Co cię najwięcej boli kobieto?

— Aj! boleści okropne we środku — powiada chora z płaczem.

— Czy ci dawano wódkę? — pyta dalej pan doktor.

— Nie — odpowie Marcinowa.

— Ale powiedz kobieto — mówi pan doktor — ja się gniewać nie będę; wódka dobra na niektóre słabości, i chcę tylko wiedzieć, czyś piła wódkę czystą, czy zaprawną, zimną czy grzaną.

— Odrobinkę grzanej — odpowie chora.

— Jakąż to odrobinkę? — pyta pan doktor.

— A półkwaterek cały — mówi Marcinowa.

— A z czem? — pyta znowu pan doktor.

— Stara Maćkowa mówiła, aby wrzucić trzy razy dziewięci ziarnek pieprzu — odpowie Marcinowa.

Na to mówi pan doktor:

— Okropna rzecz, aby na zapalenie kiszek dawać wódkę z pieprzem. Potem pyta chorej:

— A cóżeś jadła kobieto?

— Nic — odpowie ona.

— Jakto nic? od kiedy?

— Od wczoraj — mówi chora.

— A wczoraj cóżeś jadła?

— Wczoraj — powie Marcinowa — zapachniała mi jajecznica z kiełbasą, i Maćkowa mówiła, że można jeść, więc jadłam.

— A dużoś jadła? — pyta jeszcze pan doktor.

— Zaś nie, jeno pełną rynkę.

Na to znowu odwrócił się pan doktor do pani dziedziczki i mówi:

— Będzie cud pana Boga, jeżeli ona wyzdrowieje. Toż wódka i jajecznica tak jej pogorszyły chorobę którą można było łatwo wyleczyć. — Potem odwróci się do Maćkowej i pyta:

— Jak ty śmiałaś zabijać matkę pięciorga dzieci?

— Cóż to jegomość gada — krzyknie Maćkowa — a któż ją zabijał?

— Ty — odpowie pan doktor — wódką z pieprzem i jajecznicą z kiełbasą. Ale poczekaj, nie ujdziesz kary.

Otóż najpierw Maćkowę wsadzono do kozy, a potem pan doktor zaczął leczyć Marcinową, która do dwoch tygodni za pomocą i łaską Pana Boga całkiem wyzdrowiała. Gdyby pan doktor tylko w godzinę poźniej przyjechał, jużby nie było ratunku, a wszystkiemu winnaby była stara Maćkowa.

Takto moi mili trzeba szanować zdrowie i życie, a więc nigdy nie należy słuchać różnych znachorek, i wydrwigroszów, lecz radzić się doktorów, bo ci na to są i na to się uczą, aby ludzi leczyli. Pamiętajcie o tem, bo życie to skarb największy, a zdrowie to największy majątek.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: E. Winiarz.